

Tam, gdzie na francuskiej ziemi bije polskie serce

*Paryż to nie tylko Wieża Eiffla, katedra Notre-Dame, atrakcyjne muzea i bulwary zachęcające do spacerów. Dla nas, Polaków, ważnym miejscem, którego nie sposób nie odwiedzić, jest **Biblioteka Polska w Paryżu**, na wyspie świętego Ludwika. Trzy ważne muzea, bogaty zbiór książek, rękopisów i innych pamiątek, oraz wystawy czasowe i imprezy kulturalne, organizowane w powiązaniu z ważnymi rocznicami, to tylko niektóre aspekty działalności Biblioteki.*



Arkadiusz Roszkowski, © Instytut Biblioteka Polska w Paryżu
Z **Arkadiuszem Roszkowskim** – kierownikiem archiwum Biblioteki Polskiej w Paryżu – rozmawia **Jolanta Łada-Zielke**.

Co jest największym atutem Instytutu Biblioteka Polska w Paryżu, dzięki któremu instytucja ta przetrwała różne zawirowania dziejowe?

Instytut Biblioteka Polska w Paryżu powstał dopiero dwa i pół roku temu. Natomiast sama Biblioteka Polska, która – niczym cenna szkatułka – kryje się wewnątrz tej nazwy, liczy prawie 200 lat. Dwa czynniki składają się na jej długowieczność. Pierwszy to zrozumienie, życzliwość i gościnność Francuzów. Zawsze podkreślamy, że jesteśmy na gościnnej ziemi francuskiej, bez której nie byłoby Biblioteki Polskiej, a przynajmniej nie w Paryżu. Drugi to wierność idei jej ojców-założycieli (i matek-założycielek), którzy wyemigrowali do Francji po upadku powstania listopadowego w 1831 roku. Na naszej wystawie

stałej, obok aktu ufundowania Biblioteki znajduje się akt detronizacji cara, który uważamy za duchowy, symboliczny kamień węgielny. Nie udało się wywalczyć wolności w powstaniu, ale emigranci przywieźli ze sobą idee niepodległościowe i przechowali je tutaj jako depozyt na przyszłość. Misją Biblioteki Polskiej było od początku gromadzenie, utrzymanie i poszerzanie zbiorów oraz przybliżanie kultury polskiej Francuzom i szerzej: całej Europie.



Fasada Biblioteki Polskiej w Paryżu, fot. Hanna Zaworonko

Wielka Emigracja była pierwszą, ale nie jedyną związaną z Biblioteką Polską?

Kolejne fale emigracji politycznych nastąpiły po powstaniu styczniowym, po II wojnie światowej i, w mniejszym stopniu, po roku 1968. Była też tak zwana „emigracja solidarnościowa”. Polacy przyjeżdżali tu również z powodów ekonomicznych, osiedlali się też tu artyści szukający swobody twórczej w wolnej, republikańskiej Francji. Dziś przybywają tu w ramach programów stypendialnych polscy studenci i naukowcy.

Szczególnym miejscem w Bibliotece jest Muzeum Adama Mickiewicza, który zrobił wiele dla Polski nie tylko jako poeta, ale i działacz polityczny.

Nasze Muzeum Adama Mickiewicza, powstałe z inicjatywy jego syna Władysława, to nie tylko pierwsze polskie muzeum literackie, ale i pierwsze tego typu muzeum we Francji. Ciekawe, że w kraju o tak wielkich tradycjach literackich nikt wcześniej nie stworzył podobnego; nawet dom Victora Hugo otwarto kilka miesięcy po powstaniu Muzeum Mickiewicza. Adam Mickiewicz był człowiekiem nie tylko pióra, ale i czynu, o czym świadczy stworzenie przez niego legionu w 1848 roku we Włoszech. Był też profesorem greki i łaciny w Lozannie, zaś w Collège de France został pierwszym profesorem języka i literatury słowiańskiej. Przyjaźnił się z wieloma literatami i

intelektualistami francuskimi, jak George Sand i Alphonse de Lamartine.

Czy ekspozycja poświęcona Fryderykowi Chopinowi cieszy się dużym zainteresowaniem?

Salon Chopina, znajduje się na końcu trasy zwiedzania Biblioteki i stanowi cel wizyt wielu gości, zwłaszcza spoza Polski. Jest to jedyna wystawa w całej Francji poświęcona wyłącznie Chopinowi. Po drodze do niej nasi goście odkrywają inne nasze ekspozycje i w ten sposób wzbogacają swoją wiedzę, nie tylko o kompozytorze. Chopin był jednym z pierwszych członków Towarzystwa Literackiego, które istnieje do dziś pod nazwą Towarzystwo Historyczno-Literackie i do momentu powstania Instytutu Biblioteka Polska w Paryżu, prowadziło i utrzymywało Bibliotekę.



Salon Chopina, fot. Hanna Zaworonko

Niektórzy cudzoziemcy reagują zdziwieniem na informację, że Chopin był Polakiem. Czy to dotyczy też Francuzów?

Sam fakt, że salon Fryderyka Chopina znajduje się w Bibliotece Polskiej, daje naszym gościom do myślenia. Ale czasem trzeba pokazać im mapę ziem polskich z XIX wieku, a na niej Żelazową Wolę. Prezentujemy też zdjęcia polskich przyjaciół kompozytora z czasów, kiedy żył w ojczyźnie oraz tych, z którymi utrzymywał kontakty na emigracji. Francuzom trzeba uświadomić, że

Fryderyk Chopin był wprawdzie artystą o randze światowej, ale w głębi serca pozostał Polakiem. Świadczą o tym jego listy z pobytu w Wielkiej Brytanii, gdzie niekiedy czuł się wyobcowany. Kiedy spotykał tam Francuzów, szczerze się cieszył i tak pisał o nich w liście do rodziny: *Ale ci Anglicy tacy różni od Francuzów, do których jak do swoich przyłgnąłem*. To znaczy, że traktował ich nie do końca jak swoich. Ta wypowiedź ucina wszelkie wątpliwości.

Jak funkcjonuje Biblioteka Polska w okresie międzywojennym, kiedy nasz kraj odzyskał niepodległość?

To czas remontów, finansowanych ze strony państwa polskiego, dzięki którym Biblioteka rozkwita, choć pełni przy ambasadzie Polskiej w Hotelu Monaco już tylko funkcję pomocniczą. Ale tutejsze wykłady cieszą się ogromnym zainteresowaniem intelektualistów francuskich. Wygłasza je między innymi generał Louis Faury, który walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Współpraca wojskowa armii polskiej z francuską ma też przełożenie na nasze dzisiejsze stosunki. Na początku lat dwudziestych odwiedza Bibliotekę Polską marszałek Józef Piłsudski, a oprowadza go sędziwy już Władysław Mickiewicz. Ich spotkanie ma wymiar symboliczny, bo Piłsudski był propagatorem mickiewiczowskich idei romantycznych. We Francji traktowano go z początku nieufnie, bo jego legiony powstawały przy armiach państw centralnych. Francuzi długo

nie chcieli uznać rządu polskiego po I wojnie światowej, dopiero Ignacy Paderewski zdołał skonsolidować wszystkie ugrupowania polityczne - w tym rozpoznawalną we Francji endecję - i doprowadził do nawiązania oficjalnych stosunków dyplomatycznych.

W czasie II wojny światowej Niemcy usiłują przywłaszczyć sobie nasze zdobycze intelektualne oraz wybitnych artystów, głównie Chopina, doszukując się w jego życiorysie alzackich korzeni i podkreślając, że jego nauczycielem był Józef Elsner.

Elsner był w dużej mierze spolonizowany. A jeśli chodzi o recepcję Chopina w Niemczech, to Biblioteka Polska w Paryżu ma dużo do powiedzenia. Otóż w 1937 roku odbyła się tu wspaniała wystawa *Fryderyk Chopin, George Sand i ich przyjaciele*. Pokazano na niej dagerotyp, dopiero co odkryty w wydawnictwie Breitkopfa i Härtla w Lipsku, który następnie został sprzedany Państwu Polskiemu. Wtedy jeszcze stosunki Polski i III Rzeszy były w miarę poprawne. Sam oryginał zaginął w zawierusze wojennej, ale u nas zachowała się jego fotografia, sporządzona w czasie trwania wystawy. Dzięki temu mamy wyobrażenie, jak Chopin wyglądał naprawdę. Kiedy Niemcy przygotowywali się do ataku na Polskę, przysłali tu jednego ze swoich historyków. Miał on w tajemnicy wynotować najcenniejsze zbiory i eksponaty, które można byłoby przypisać

dziedzictwu niemieckiemu. Resztę planowano skonfiskować i ewentualnie zniszczyć. Po wkroczeniu do Paryża hitlerowcy od razu zajęli budynek Biblioteki, ale jej pracownicy zdążyli ukryć i przechować większość zbiorów, a po wojnie odzyskali sporą część zagrabionych.



Muzeum Adama Mickiewicza, fot. Hanna Zaworonko



Muzeum Bolesława Biegasa, fot. Hanna Zaworonko

Obok Mickiewicza i Chopina ma u Państwa osobną salę

ekspresjonistyczny rzeźbiarz i malarz Bolesław Biegas (1877-1954).

Biegas jest coraz lepiej rozpoznawalny, nie tylko w Polsce, ale i we Francji. Był członkiem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i jednym z jego mecenasów. Realizując zapis w jego testamencie, założyliśmy w pierwszych latach powojennych muzeum prezentujące jego zbiory. To był artysta wszechstronny, próbował też komponować i pisał dramaty. Ale największe sukcesy odnosił jako rzeźbiarz i malarz, bo kiedy żył, jego prace sprzedawano drożej niż dzieła Picassa! To jedyny polski artysta, którego dzieła stanowią część stałej ekspozycji w Muzeum d'Orsay. W Polsce można je obejrzeć między innymi w Muzeum Secesji w Płocku. Biegas chciał, aby jego dzieła trafiły na jego ukochane północne Mazowsze, co w Polsce komunistycznej nie było możliwe. Dopiero wiele lat po śmierci artysty spełniliśmy jego ostatnią wolę, oddając Muzeum w Płocku jako depozyt jego monumentalne, ekspresjonistyczne i symbolistyczne rzeźby. Co kilka lat Biblioteka Polska w Paryżu przedstawia jeden z aspektów życia Biegasa w formie wystawy monograficznej. Przed igrzyskami olimpijskimi był to *Biegas jako taniec*, w stulecie I wojny światowej *Demony wojny*, a w okolicach Roku Chopinowskiego - *Biegas i Muzyka*. Nie każdy wie, że Biegas startował w konkursie rzeźbiarskim na pomnik Chopina. Proszę sobie wyobrazić jego ekspresjonistyczną rzeźbę na miejscu posągu dłuta Wacława Szymanowskiego w Łazienkach! Myślę, że

nie do końca pasowałyby do tej scenerii, niemniej jednak życie i twórczość Biegasa wpisują się w wydarzenia kulturalne. W tym roku otwieramy wystawę *Biegas i Ukraina*. I nie jest to temat „naciągany”, bo jego mecenas posiadali majątek na Kijowszczyźnie, gdzie artysta spędzał wakacje i inspirował się tamtejszym folklorem. Prezentował też swoje dzieła na kijowskich salonach.

Czy będą też inne wystawy czasowe?

W ramach obchodzonego we Francji jubileuszu dwustulecia fotografii, przygotowaliśmy wystawę roczną, na której można zobaczyć unikatowe, bardzo rzadko eksponowane dagerotypy oraz najstarsze, XIX-wieczne fotografie reprezentujące wielość technik, stylów i tematów. W rocznicę Poznańskiego Czerwca 1956 organizujemy konferencję międzynarodową, w której wezmą też udział badacze z Francji i przedstawią tamte wydarzenia ze swojej perspektywy. W czerwcu prezentujemy wystawę *Maski pośmiertne*, w ramach której dawna, zarzucona dziś tradycja wykonywania i wystawiania masek pośmiernych, stanie się obiektem działań współczesnych artystów. Po wakacjach reaktywujemy wystawę poświęconą „Kulturze” paryskiej, która odbyła się w naszych murach 40 lat temu. Wpisujemy się również w obchody Roku Józefa Czapskiego. Rok 2027 będzie zaś Rokiem Polsko-Francuskim, jako pokłosie podpisania paktu między Polską a Francją w Nancy, który to

traktat został bardzo szybko ratyfikowany przez oba kraje. Nancy to też miejsce symboliczne, związane z królem Stanisławem Leszczyńskim. Odtworzymy również po 90 latach wspomnianą już wystawę chopinowską z 1937 roku. Odbędzie się to dokładnie w stulecie pierwszego Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

Jakie wyzwania czekają Bibliotekę w najbliższej przyszłości?

Czeka nas remont fasady budynku, na której gdzieś pojawiają się pęknięcia, omszenia i zacieki. Kolejny krok to digitalizacja naszych zbiorów. Użytkownicy internetu, badacze, naukowcy i historycy zaczynają dziś swoje poszukiwania i zapytania prawie zawsze od kwerendy cyfrowej, ale dla nas to jeszcze „pieśń przyszłości”. Natomiast bazując na katalogach, zmużnie opracowywanych przez naszych poprzedników i przez nas samych, będziemy mogli ten zamiar zrealizować, choć z pewnym opóźnieniem. W najbliższych miesiącach ruszamy z programem pilotażowym.

Dziękuję za rozmowę.

Zobacz też:

Polski Rapperswil

Chopin prawdziwy



Reżyser Michał Kwieciński, fot. Bożena Rożek

Nowy film Michała Kwiecińskiego *Chopin, Chopin!* wywołał w Polsce falę emocji i dyskusji. Dla jednych to dzieło przełomowe w sposobie ukazania postaci kompozytora, dla innych -

kontrowersyjne. Reżyser odchodzi od romantycznego mitu „cierpiącego poety fortepianu” i pokazuje człowieka żywego, pełnego energii, zmagającego się z chorobą, sławą i własnym geniuszem.

Z reżyserem o filmie, jego genezie i o Chopinie, jakiego nie znaliśmy – rozmawia **Joanna Sokołowska-Gwizdka**.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Film *Chopin, Chopin!* zrobił na mnie ogromne wrażenie. Pokazuje zupełnie innego Chopina niż ten, który funkcjonuje w naszej kulturze. Nie jest to biografia w klasycznym sensie – to film o procesie żegnania się z życiem, o zmaganiu się geniuszu z uciekającą chwilą, o twórczości, która daje nieśmiertelność. Czy taki był Pana zamysł od początku?

Michał Kwieciński:

Tak. Od początku chciałem, by Chopin był symbolem uniwersalnym – uosobieniem twórcy i geniusza. Wprawdzie nie znałem osobiście wielu geniuszy, ale na podstawie listów i literatury zrozumiałem, że Chopin właśnie nim był. Zainspirowała mnie głównie czterotomowa biografia Ferdynanda Hoesicka *Chopin. Życie i twórczość*. To genialne, naukowe opracowanie wydane na początku XX wieku, oparte na bogatej

literaturze i XIX-wiecznych źródłach. Po jej lekturze większość późniejszych książek wydała mi się banalna, nieoddająca Chopina takiego, jakim jawi się u Hoesicka. Dlatego chciałem pokazać naszego wielkiego twórcę w sposób, który – moim zdaniem – jest najbliższy prawdzie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Poświęcił Pan zatem wiele czasu na przygotowania i zgłębianie literatury z czasów Chopina.

Michał Kwieciński:

Przez ponad sześć miesięcy czytałem listy, dokumenty, wspomnienia. Znam francuski, więc sięgałem po oryginały, w dużej części wskazane przez Hoesicka. Czytałem między innymi listy George Sand do Wojciecha Grzymały, z których wynikało, jakie miała wobec Chopina plany. Z czasem całkowicie zmieniło się moje wyobrażenie o Chopinie – o jego patriotyzmie, chorobie, relacjach z ludźmi. Wyszedłem z założenia, że listy nie kłamią.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Zauważyłam, że niektóre cytaty z listów są niemal dosłownie przeniesione na ekran.

Michał Kwieciński:

Staralem się być wierny źródłom. Na przykład w scenie, gdy Chopin dostaje list od swojego ulubionego ucznia Carla Filtscha,

pojawiają się niemal dokładne słowa, które wtedy rzeczywiście padły. Widzowie mogą sądzić, że wiele scen jest wymyślonych na potrzeby filmu, tymczasem ja, tam gdzie mogłem, kurczowo trzymałem się historii.



Kadr z filmu „Chopin, Chopin!”, fot. Jarosław Sosiński

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Czyje listy dostarczają najwięcej szczegółów z codziennego życia Chopina?

Michał Kwieciński:

Proszę przeczytać listy jego uczennicy Friederike Müller. Przychodziła do niego na lekcje, a potem pisała do swoich ciotek czterdziestostronicowe listy, relacjonując każdą z tych lekcji w najdrobniejszych szczegółach. Musiała go bacznie obserwować,

bo opisuje, jak Chopin „zgiął rękę” czy „splunął do kominka”. To była osoba, która go wręcz prześladowała – dziś nazwalibyśmy ją stalkerką.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

W książce *Przedpiekle sławy. Chopin i jego Paryż* Piotr Witt opisuje życie kompozytora przed spektakularnym sukcesem. Udowadnia, że jego debiut w Paryżu nie odbył się – jak się często podaje – od razu w prestiżowej sali Pleyela, lecz wcześniej, w Pałacu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, zwanym Hôtel de Monaco. W filmie już na początku widzimy Chopina jadącego do Sali Pleyela, otoczonego tłumem wielbicieli.

Michał Kwieciński:

Chciałem od razu pokazać Chopina jako celebrytę. Nie wiemy, czy on to lubił, myślę, że raczej nie chciał być sługą tłumów. Popularność mogła mu ciążyć. Moim celem nie było jednak odtwarzanie faktów z jego życia, lecz dotarcie do jego psychiki. W wielu miejscach świadomie odrzuciłem dosłowność, jeśli nie służyła pokazaniu tego, co mógł czuć. Na przykład na Majorce – wiedziałem, że była ulewa, że właściciel wyrzucił ich z willi, gdy dowiedział się o gruźlicy Chopina, że schronili się w opuszczonym klasztorze kartuzów w Valldemossie. Te fakty były mi potrzebne do opisanego jego stanu ducha. Nie włączyłem natomiast wątku dzieci George Sand i konfliktu z nimi, bo zależało mi na skupieniu się na emocjach i przeżyciach, które

miały wpływ na jego decyzje.



Kadr z filmu „Chopin, Chopin!”, fot. Jarosław Sosiński

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Kiedy byłam przedstawicielką Festiwalu Chopinowskiego w Nohant we Francji, wielokrotnie odwiedzałam dom George Sand. Chopin był tam wciąż obecny. Zachowały się choćby wygłuszone drzwi do jego pokoju, bo komponując, bywał bardzo nerwowy i niezadowolony z tego, co tworzył. Uderzał w klawisze, krzyczał, rzucał się na podłogę. Tak go zapamiętano – domownicy nie mogli spać.

Michał Kwieciński:

W filmie też jest scena męki twórczej. W Paryżu panuje epidemia cholery, ludzie są przerażeni, a dźwięki dochodzące z mieszkania

Chopina stają się coraz bardziej uciążliwe. W końcu ktoś krzyczy do niego: „Niech pan wreszcie przestanie grać, jest pan nieznośny!”.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

W Nohant zachowały się przepisy z czasów George Sand. Wiemy, że Chopin był na specjalnej diecie – jadł potrawy lekkostrawne, jego ulubionymi daniami była pularda i potrawka z ryżu. To również kształtuje nasz obraz – wyobrażamy sobie Chopina jako człowieka wątłego, schorowanego, wycofanego. Pana Chopin taki nie jest.

Michał Kwieciński:

Zaskoczyła mnie informacja, że Chopin chodził bardzo szybko. To zaprzeczenie mitu o wątłym artyście, który ledwo powłóczy nogami. Nie mógł poruszać się wolno, skoro współcześni mówili, że lubił się wygłupiać, świetnie naśladował głosy, był towarzyski i wracał po nocnych zabawach dopiero o dziesiątej rano. Te wszystkie „melanże” bardzo go pociągały. W filmie jest więc człowiekiem żywym, energetycznym.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Myślałam, że Chopin był introwertykiem, zamkniętym w sobie, spędzającym długie godziny przy fortepianie.

Michał Kwieciński:

Wydaje mi się, że był introwertykiem – ale introwertyk często gra ekstrawertyka, nie chce, by postrzegano jako zamkniętego. Introwertyk to niekoniecznie odludek – często jest duszą towarzystwa, tylko na zewnątrz pokazuje inną twarz.



Kadr z filmu „Chopin, Chopin!”, fot. Jarosław Sosiński

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Diagnoza śmiertelnej choroby dopada więc Chopina w pełni sił – człowieka żywotnego, odnoszącego sukcesy, a nie ospałego, schorowanego, biednego artysty. W filmie pokazane są wszystkie etapy umierania: zaprzeczanie, ignorowanie, bunt i wreszcie pogodzenie się z losem.

Michał Kwieciński:

Dokładnie o to mi chodziło – dlatego oparłem film na tej

diagnozie. Wiemy, że śmierć jest nieuchronna, ale i tak szukamy nadziei. Chodzimy do znachorów, którzy nie gwarantują wyzdrowienia, a mimo to wierzymy, że może nasze działania opóźnią to, co nieuniknione.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

W postać Chopina wcielił się Eryk Kulm. Jego kreacja jest niezwykła - miałam wrażenie, że aktor stał się Chopinem, a nie tylko go grał. Wiem, że sam wykonywał wszystkie utwory fortepianowe.

Michał Kwieciński:

Tak, Eryk Kulm sam grał - to był mój warunek. Nie jest zawodowym pianistą, więc nie wszystko brzmiało perfekcyjnie, dlatego w niektórych fragmentach dźwiękowo wspierał go pianista Tomasz Ritter. Ale wszystkie ujęcia gry są autentyczne. Kulm przygotowując się do roli, wyjechał na cztery miesiące do Francji, odciął się od świata i uczył się gry na fortepianie oraz francuskiego. To duży koszt - skazanie się na samotność i pustelnię. Wtedy zapewne narodził się w nim ten Chopin, którego widzimy na ekranie. Myślę też, że aktor sam ma wiele cech wspólnych z Chopinem - i to pomogło mu stworzyć tę rolę.



Kadr z filmu „Chopin, Chopin!”, fot. Jarosław Sosiński

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Film osadzony jest w XIX-wiecznym Paryżu. Widać wiele obyczajowych detali, bogactwo kostiumów, wspaniałą scenografię. Jak wyglądała praca nad tą warstwą historyczną?

Michał Kwieciński:

Film został bardzo starannie przygotowany – pracowaliśmy nad nim z pietyzmem przez półtora roku. Współczesny Paryż nie przypomina już XIX-wiecznego, dlatego zdjęcia realizowaliśmy w Bordeaux. To miasto wygląda tak, jak Paryż w czasach Chopina – szare, kamienne ulice, stare kamienice, klimat tamtej epoki. Nic dziwnego, że kręci się tam wiele filmów mających oddać atmosferę XIX-wiecznej stolicy Francji.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Dla mnie *Chopin, Chopin!* jest jednym z najlepszych filmów biograficznych, jakie widziałam. To film bardzo ludzki, prawdziwy – każdy z nas może się w nim odnaleźć. Filmowy Chopin budzi współczucie, gdy widzimy jego dramatyczną walkę o nieśmiertelność, o zatrzymanie w muzyce każdej uciekającej chwili. Dlaczego więc, według Pana, film budzi takie kontrowersje?

Michał Kwieciński:

Pewnie dlatego, że widzowie spodziewają się typowej biografii, a to jest dramat psychologiczny. Kiedy uczestniczę w pokazach, zawsze wchodzę na scenę i mówię: „Wyrzucicie z siebie swojego Chopina”. Każdy z nas ma w sobie jakiś jego obraz – ze szkoły, z wycieczek do Żelazowej Woli, z koncertów. Dlatego trzeba widzów zachęcić, by nie stawiali w pozie konfrontacyjnej, tylko po prostu poddali się temu filmowi.



20. Festiwal Polskich Filmów w Austin, Teksas

W ramach 20. Festiwalu Polskich Filmów w Austin, będzie można

zobaczyć film „Chopin, Chopin!” podczas Gali otwarcia, 2 listopada 2025. Więcej informacji na naszej stronie Internetowej.

<https://www.austinpolfilm.com/>

Muzyczne spotkania ze Stefanem Kisielewskim



Marek Drewnowski gra utwory Chopina podczas Open'er Festival, Gdynia 2010 r., fot. arch. artysty

Marek Drewnowski (*pianista, profesor*)

W latach 80. przebywałem w Paryżu jako stypendysta „Kultury Paryskiej”. Odwiedzałem księży Pallotynów dosyć często i tak spotkałem Stefana Kisielewskiego. Szefem dyrektorem Pallotynów był wówczas ksiądz Józef Sadzik działający na emigracji m.in. w wydawnictwie *Editions du Dialogue*. Nieprzeciętna postać i osobowość. Ksiądz Sadzik postanowił zorganizować koncert muzyki współczesnej w salce pobliskiego kościołka. W programie miałem zagrać utwory

Kisielewskiego i Romana Palestra. Kisiel na szczęście miał nuty, więc zacząłem uczyć się jego nowych utworów. Była to „Suita na fortepian”, „Kołysanka” i coś jeszcze, czego nie pamiętam. Kompozycja Palestra, który mieszkał już na stałe w Paryżu – „Expressioni. Expressioni” to trudny, bardzo skomplikowany i wymagający utwór. Praca z Palestrem nad tym utworem była ciężka, był on bowiem niezwykle wymagający, szukał barw, detali, dynamiki i zmuszał mnie do dużego wysiłku. W końcu zadowolony po długiej pracy puszczał mnie do domu. Po spotkaniu wychodziłem z jego mieszkania spocony i zmęczony.

Umówiłem się również na próbę z Kisielewskim. Ta wyglądała zupełnie inaczej. Mieszkałem wtedy w Cite Universite i miałem tam wynajęty fortepian. Nieoczekiwanie w metrze zapytał mnie, czy mam wino w mieszkaniu. Był trochę spięty i zmęczony. Napiliśmy się po kieliszku, później mu grałem. Nie męczył mnie, wydawał się zadowolony.

Koncert odniósł duży sukces. Palester zarzucał Kisielowi, że jest za mało nowoczesny i dlatego podoba się publiczności. Zazdrościł Kisielowi sukcesu, mimo, że „Expressioni...” też się podobały. Utwory Kisielewskiego są klasyczne, ale mieszczące się w tradycji muzycznej formy. Sam Kisiel był targany wątpliwościami co do swojego wyboru stylu, ale jak sam pisał:

Pisanie muzyki wybitnie mnie nudzi – to zresztą awangarda mnie „zwariowała” i nie mam wiary we własne poczynania. Oddziałali na mnie à rebours – też bywa. Krótko mówiąc, nowy świat już nie dla mnie. Fatalny sobie wybrałem zawód [publicystyka polityczna – U. C. L.] i przez tyle lat udawałem, że mogę go uprawiać. I wreszcie bomba pękła. A nie lepiej było trzymać się muzyki, kochanej, asemantycznej muzyki? Mądry Polak po szkodzie W ogólnym kłamstwie, jakie tu panuje (czy może cały kraj kłamać?! — ba, musi!) muzyka jest jednak oazą czegoś jednoznacznego. Muzyka nie kłamie – bo nie może. Choć muzycy by chcieli. Nie wierzę w dzieło, które nie wymaga wysiłku technicznego, przewycięzania oporu materii, a jest tylko czystą koncepcją. To łatwizna, unik, nieporozumienie! Coraz bardziej przy tym jestem przeciw filozofującej awangardzie [...]. Trzeba pisać po swojemu i kwita,

To co pisał Kisiel o nudzie trzeba włączyć w nawias, gdyż do muzyki podchodził z wielką powagą, co widać też w jego innych wypowiedziach. Bogusław Schaeffer krótko i celnie określił kompozycje Stefana Kisielewskiego: „kapitalny dowcip, humor muzyczny i rossiniowska niemal lekkość”.

Mozolnie „składam nutki”, pionowo i poziomo, przed czym,

jako przed przestarzałością, ostrzegał Schaeffer. Bóg z nim, ale ja inaczej nie potrafię. Pocieszam się, że jednak w jakiś sposób „wyrażam siebie”, bo słuchacze moją muzykę wyróżniają, nawet bez trudu. Stulecia zatrą perspektywę dziesięcioleci i może ocali się to, co charakterystyczne, a może wszystko przepadnie. (S.K.)

Kiedy poznałem Kisiela doszedłem do wniosku, że Kisiel był niezwykle wrażliwym człowiekiem. Teraz kiedy o nim myślę, wyłania się portret człowieka wybitnego, trzymanego w gorszej sytuacji politycznej i miotającego się między polityką, a muzyką. I w jednej i w drugiej działalności napotykał opór. Przypisuję sobie zasługi, co do muzyki poważnej, awangardowej:

Również ja dostarczyłem partii matce naszej odpowiedniej formuły: że muzyka nie wyraża treści merytorycznych, ideologicznych czy jakich tam, że to jest „czysta forma” i nie ma się jej co bać. Oni kupili to ode mnie i stąd są np. festiwale Warszawska Jesień i inne pendereckiady. A kompozytorzy zamiast mi być wdzięczni, to mnie nie znoszą i szyją mi buty przy każdej okazji (ci starsi, Baird, Serocki, Turski etc.) Taka to psia wdzięczność na świecie. Represją komunistycznych władz było skazanie artysty na publiczny niebyt. (S.K.)

Mam ciągle kompleks niepotrzebności, nawet w dziedzinie kompozycji: po co pisać, kiedy nie grają? Trzeba z tym walczyć, bo się załamie, a komuniści zatriumfują. Ale jak walczyć? Trochę trzeba się bawić, ale czym? „W co się bawić?”, jak pyta w piosence Wojciech Młynarski. W wolnego człowieka! Okropnie się czuję „bez miejsca na świecie”: co pisać, co robić? Nawet z muzyką nic, nie ciekawi mnie, PWM milczy, mój udział w Związku Kompozytorów zdaje się też pod znakiem zapytania. Najgorsze jednak, że nie mam na nic ochoty, czując się przegoniony przez życie, przez wypadki, może przez wiek?! Starość to rzecz banalna – cierpieć banalnie, fu, cóż to za obrzydła perspektywa! (S.K.)

Po latach Kisielewski zaproponował mi prawykonanie „Koncertu fortepianowego” (1991), który pisał od 11 lat. Okazało się, że był to ostatni utwór kompozytora. Koncert o wyrazistej formie i tradycyjnym języku muzycznym, oparty na koncepcji dialogów instrumentalnych z towarzyszeniem fortepianu. Nie przypominam sobie, abym pracował nad tym koncertem z kompozytorem, raczej przysyłał mi fragmenty ukończonych stron. Spotykałem się z nim tylko na płaszczyźnie towarzyskiej.



Stefan Kisielewski z żoną Lidią, fot. Krystyna Kisielewska-Sławińska

Kiedyś spotkaliśmy się w moim domu w Warszawie z Piotrem Wierzbickim, Tadeuszem Kaczyńskim i Olgierdem Gedyminem. Po kilku kieliszkach... wpadliśmy na pomysł urządzenia konkursu fortepianowego, aby sprawdzić, kto lepiej gra. Konkurs odbył się już po następnych kieliszkach. Pamiętam, że grałem Poloneza As dur w tonacji fis moll Chopina, a później wystąpił Wierzbicki, Kaczyński i Olgierd, ale do dzisiaj nie pamiętam, kto wygrał... (chyba Olgierd).

W każdym razie „Koncert fortepianowy” Stefana Kisielewskiego

według mnie jest koncertem wyjątkowym, wybitnym i bardzo trudnym. Wykonałem go na Warszawskiej Jesieni w Filharmonii Narodowej z dyrygentem Jerzym Swobodą wraz z zaproszoną na Festiwal Śląską Filharmonią z Katowic. Koncert miał ogromne powodzenie i sukces. Po raz pierwszy na Warszawskiej Jesieni doszło do bisu, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Nazajutrz z dyrygentem i z butelkami szampana poszliśmy odwiedzić Kisiela. Leżał w szpitalnej salce. Wyglądał dobrze, ale odmówił szampana, patrząc w ścianę. To już nie dla mnie, powiedział. Okazało się, że oglądał w telewizji transmisję, narzekał na niesłyszalne w nagraniu instrumenty dęte. Co prawda telewizorek był pośledni, mały, turystyczny, niestety bez profesjonalnego odsłuchu. Po dłuższej dyskusji nad nagraniem wyszliśmy ze szpitala nie mając pojęcia nad złym stanem zdrowia Kisiela. Dwa dni później Kisiel odszedł.

Po Kisielu została mi wspaniała pamiątka. Otrzymałem nagrodę „Orfeusza” za najlepsze wykonanie na Warszawskiej Jesieni. Z tej statuetki do dzisiaj jestem dumny.

Jak już wspomniałem Kisiel miotał się między muzyką a polityką, wszędzie natrafiając na przeszkody. A to go pobili, a to go nie chcieli wydawać drukiem, albo cenzurowali i wykluczali z działalności publicystycznej, albo nie wydawali kompozycji, natrafiając również na opór kolegów ze względu na klasyczny

styl jego utworów.



Marek Drewnowski, fot. arch. artysty

Niestety Polacy mają kompleks narodowościowy, który do dzisiaj jest aktualny. Ja to nazywam genem zrazy. Polacy nie popierają Polaków, wolą obcych. Wszystko, co polskie wydaje im się gorsze. Polacy to tzw. wycofani pesymiści („Polskość to nienormalność”, jak powiedział jeden z czołowych polskich polityków}. Gdy spojrzymy na polską historię, to już od XVII wieku artyści zagraniczni SĄ lepsi, kraje sąsiedzkie SĄ lepsze,

ich polityka i kultura jest mądrzejsza, towary zagraniczne SĄ pewniejsze, itd. Dlatego Kisielewskiego się nie docenia. Politycy przywłaszczyli sobie Kisiela, ignorując zupełnie jego twórczość muzyczną i zasługi. A jego wnioski i opinie z tych czasów w jakich żył do dzisiaj są aktualne.

Otóż niżej podpisany piastując od lat zaszczytny tytuł „błazna rewolucji” (nawet tak poważne instytucje jak rewolucja muszą posiadać swych błaznów), ma w istocie duszę smutną i napełnioną pesymizmem. Chętnie zabawiłbym się w Kasandrę, co w Polsce, jak twierdził Ksawery Pruszyński, zawsze się udaje. Dziwne to zjawisko, że właśnie epoka odnowy, a nie epoka rządów głośnej jednostki z wąsami, napełniła mnie „integralnym pesymizmem”, ale może to tak zawsze jest na świecie: lepsze widać pewne zło niż niepewne dobro. „Najgorsza ta niepewność”, jak mówi znana anegdota o zazdrosnym mężu. (S.K.)

P.S. Po koncercie „Koncertu fortepianowego” Kisiela w garderobie zjawił się nasz pomnikowy kompozytor. Usłyszałem, jak szeptał do bardzo ważnej krytyczki. „To jest muzyka Bolka i Lolka”. Krytyczka ze zrozumieniem pokiwała głową i puściła te ploteczkę dalej...

W maju maestro Marek Drewnowski został zaproszony przez Fundację Orquesta Filarmónica de Bogotá w ramach programu „Circuito Clásico 2024” do Kolumbii. Koncert w Bogocie będzie miał miejsce 4 maja 2024 r. w sali koncertowej Gran Auditorio Compensar o godzinie 19.00. To szczególne wydarzenie odbędzie się z okazji obchodów rocznicy Konstytucji 3 Maja, przy współudziale Ambasady Polskiej w Bogocie. Marek Drewnowski zagra też w Medellin. Publiczność w Kolumbii będzie mogła usłyszeć m.in. utwory Chopina, Scarlattiego, Mozarta, Liszta.

*

Zobacz też:

Kasztan Kisiela

Romantycznych
poetów listy -
hipotetyczna
korespondencja
Cypriana Kamila
Norwida z Adamem
Mickiewiczem. Część

2.



Fot. Pixabay

Opowieść o losie poety na emigracji. Hipotetyczna korespondencja romantycznych poetów, gdyby Norwid z Nowego Jorku nie wrócił do Paryża, tylko pojechał do Chicago.

*

Adam Lizakowski (*Chicago/Pieszyce*)

C. K. Norwid z Chicago pisze list do A. Mickiewicza

Szanowny i Wielmożny Panie -

Będzie już trzy tygodnie jak Pański list odebrałem, dziękuję za niego a mnie już rok dobiega mojej obecności w Chicago i wciąż nie mam odczucia, że Ameryka w jakimś stopniu mnie dotyczy, bo praca wśród Polaków i z Polakami na to nie pozwala. Nie mogę jak Kolumb krzyknąć: Ziemia!!! Ziemia!!! Mówią tutaj tylko po polsku, po francusku, czy włosku prawie wcale, nie licząc okazji do rozmów z emigrantami, a więcej używam niemieckiego niż angielskiego. Ale nie czuję się jak Owidiusz na wygnaniu w najdalszy zakątek imperium. Wszakże na własne życzenie stałem się zapomnianym przez ludzi, ale nie przez Boga. Znowu poszedłem coś zjeść do karczmy prowadzonej przez rodaków i najedzony z notatnika kartkę wyrwałem i na niej piszę do Pana, wcześniej na drugiej stronie coś tam szkicowałem, ale tego nie dokończyłem.

Moje życie codzienne to praca i towarzystwo przybyszów z Polski, których tutaj pełno, bo do rzeźni w pracy blisko, ale i do wysypisk śmieci miejskich też nie daleko. Moja sytuacja ekonomiczna pogorszyła się ze względu na chorobę ręki, którą to sobie w Nowym Jorku uszkodził i teraz daje mi się we znaki. Do pokoju, z którego byłem taki zadowolony wzięłem wdowę z trójką dzieci, która wcześniej z innymi Polakami pokłócić się zdążyła i już prawie na ulicy wszyscy spali. Brak w naszej społeczności nie tylko w Ameryce, ale i w Europie tej prostej ludzkiej życzliwości

wobec drugiego człowieka, nie wspomnę już o trosce i miłości bliźniego jest przyczyną wielu tragedii. Kłótnie między rodakami są okropne i wszyscy na tym tracą okrutnie, egoizm, brak poszanowania drugiego człowieka bierze górę nad rozsądkiem i chrześcijańskim podejściem do życia, bo Polak Polakowi wilkiem. *Homo hominy lupus* jak mawiał angielski filozof Thomas Hobbes, tak jak my przez długie lata w Paryżu żyjący.

A serce wypełnione chrześcijańską miłością trzeba mieć ogromne, bo ulica moja jest w dzielnicy ludzi ciężko pracujących i biednych, bo praca nie zawsze wystarcza na utrzymanie rodziny i wielu gęb do wyżywienia. Ciężka praca i trudne warunki życia, a i częste zagładanie do karczmy po alkohol powodują, że Polacy długo nie żyją, stąd wiele młodych wdów z dziećmi, a i śmiertelność wśród nich jest wysoka. Teraz ja pełnię rolę „głowy rodziny” zupełnie obcych mi osób, bo wdowa, chociaż ze Śląska to nie ma tutaj krewnych tylko w Teksasie, a tam jechać do nich nie ma za co. Jak to wszystko się zakończy Pan Bóg raczy wiedzieć. Ona chce łóżko dla siebie i kawałek podłogi dla dzieci ode mnie wynająć, aby jak najwięcej zaoszczędzić i wyjechać, ale gdzie pojedzie z tego Chicago, ani pisać ani czytać nie potrafi. Wszędzie gdzie będzie, jeśli znajdzie, jaką pracę to zarobi niewiele jedynie do czyszczenia i sprzątania się nadaje, ale to robią wszyscy i o robotę będzie trudno. W starym kraju pracowała na roli to i jest silną kobietą, może jej mięśnie wytrzymają ten nadludzki wysiłek, jeśli jaką pracę znajdzie.

Wracając do mnie w takich warunkach nawet nie wiem jakbym chciał, do pracy twórczej nie byłbym w stanie wrócić. O żadnym pisaniu utworów być mowy nie może, ale najstarszego syna wdowy czytać i pisać uczyć mogę, jeśli nie jestem zbyt zmęczony, a on rozbawiony swoim rodzeństwem.

Żyjąc takim amerykańskim życiem o Paryżu i Francji już prawie zapomniałem, jedynie mocnej Polska weszła we mnie poprzez chicagowskich rodaków. Czasy głodu i postu dla mnie osobiście wymuszonego przez sytuację przeszły, ale nie dla rodaków tej różnorodnej masy ludzkiej, której rząd amerykański w żaden sposób nie pomaga. Nawet spotkałem weteranów, byłych powstańców z listopada 1831 roku, co to po jego upadku na siłę z Galicji zostali do Ameryki wywiezieni. Jestem tu w społeczeństwie zupełnie mi nieznanym i wszech miar innym, ale mogę żyć z pracy fizycznej moich rąk. Żadnych nowych wierszy nie napisałem, i coraz mniej mam czasu na pisanie i rozmyślanie. Do mojej powiernicy serca tej jedynej przyjaciółce, która nigdy o mnie nie zapomniała Marii Trębickiej też nie piszę, chociaż tak chętnie jeszcze z Nowego Jorku pisałem i nowe utwory posyłałem. Pisanie, twórcze myślenie odeszło wraz z wyczerpującą pracą, taka jest cena chleba, taka jest cena stawy w Ameryce. Wcześniej jeszcze z Nowego Jorku do Pana pisałem prośbę o pomoc finansową na bilet powrotny, aby Pan raczył w moim imieniu zwrócić się do hr. Ksawerego Branickiego, czy hr. Rogera Raczyńskiego, bo chciałem z Ameryki do Polski albo

Turcji się wydostać. Zapadło jednak w tej sprawie głucho milczenie, a i moje plany się zmieniły, jestem w Chicago i stąd nie zamierzam się ruszać, póki co. Brakuje mi Europy i jej kultury, muzeów i galerii, ale też rozumiem Pana i jego niechęć do pisania wierszy i tak nieopatrznie wspomnianej przeze mnie propozycji napisania poematu *Pani Zosia*, który byłbym niejako kontynuacją *Pana Tadeusza* na amerykańskiej ziemi. Wiem pomysł szalony, ale, ale czyż mnie w Paryżu Polacy nie nazywali „starym dziwakiem?”

I aby skończyć z tym „dziwakiem”, napiszę szczerze, że żadnych książek z Nowego Jorku ze sobą do Chicago nie zabrałem, ani takiej, co bym chętnie teraz czytał, ani takiej, co by mi była potrzebna. Jedynie starą wysłużoną Biblię z sobą wziąłem, którą jeszcze w Polsce matka mi podarowała. Ta myśl, aby nic poza Pismem Świętym nie zabierać i nie dźwigać i nie płacić za bagaże narastała we mnie powoli, bez pośpiechu zgodziłem się na wędrowca, którego jedynym dziennikiem pokładowym jest Słowo Boże. Nie czas na Muzy, gdy głód kiszki ściska, a na grzbiet nie ma, co założyć. Biblia to taka książka, którą można na chwilę odłożyć, gdy człowiekowi powieka się zamyka, albo, gdy na stole talerz gorącej zupy postawią. I gdy się ją zje i zanim rybę przyniosą znowu można ze dwie strony przeczytać, podnieść wzrok by po twarzach w jadalni na zebranych popatrzeć, zastanowić się, pomyśleć pomiędzy łykami wina. Pan Bóg za takie czytanie się nie obrazi, a i czas dany mam od Niego

mile przeminie. Piszę Ci o Tym Panie, bo takiego Norwida nikt we Paryżu nie znał. Karmiony naszą historią i tragedią narodową, naszymi narodowymi wadami i gadulstwem, postanowiłem tutaj z dala od paryskich kłótni spraw narodowych złamać pióro i odpocząć. Gdy tęsknota za tym, co zostało na drugim brzegu Atlantyku powróci, i po raz kolejny poczuję chęć i nabiorę sił, gdy Pan Bóg pozwoli to do Europy wrócę. Pamiętaj drogi poeto o zdrowiu i modlitwie, którą ja każdy dzień rozpoczynam i kończę, i jeśli ktoś z naszych znajomych się Ciebie zapyta, czym na oceanie zatonął, powiedz mu, że tak, że zatonąłem w preriach amerykańskich nad jeziorem Michigan.

Cyprian Norwid

*



Fot. Pixabay

A. Mickiewicz pisze list do C.K. Norwida

Mój drogi Norwidzie!

Nie odpowiedziałem natychmiast na list Twój, bo skoro jesteś w Ameryce, a tam są wszyscy na „ty”, które brata każdego z każdym, więc piszę do Ciebie bezpośrednio. Mnie też ten amerykański sposób życia się podoba, chociaż czasem denerwujące jest te „you”. Obecnie zajęty jestem ponad ludzkie siły, jak za pewnie wiesz, wojna na Krymie się już na dobre rozpoczęła. Nadszedł czas, aby urzeczywistnić marzenia nie tylko polskich emigrantów o wojnie powszechnej w Europie.

Czas pomyśleć o wznowieniu pisma *Tribune des Peuples*. Wojna na Krymie może być tym na co czekały wszystkie narody europejskie walczące z monarchiami i despotyzmem.

Ty sobie w Ameryce żyjesz, a my tutaj w Paryżu mamy nadzieję, że na tym konflikcie nasza ojczyzna może skorzystać i aby nie siedzieć z założonymi rękami chcę jak najwięcej narodowej sprawie się przysłużyć. Orient zawsze mnie interesował i teraz nadarzyła się ku temu nie lada okazja. Planuje wyjazd do Stambułu, aby być bliżej teatru tej wojny. Rozmawiam z Francuzami, aby ze swoim sekretarzem tam się udać, chcę za wszelką cenę Francuzów naszą sprawą zainteresować, a i finanse też mi idzie, bo jak wiesz, bez ekonomii nic nie będzie.

Wracając do Twojego listu, po raz wtóry Ci piszę, że nie wiem, co mam Ci odpowiedzieć i co mam Ci odpisać. Opisywane przez Ciebie dole Polaków wielki smutek we mnie budzą, chociaż wiem, że za szczęściem i lepszym życiem ocean przepłynęli. Tę niedolę powiększa odległość przez ogrom wody, bo jak wiesz w Europie nasi uciekinierzy też łatwego życia nie mają. W słowach o emigrantach jak i w Twojej poezji nie widzę światła, i to mnie martwi. Popadłeś w depresję sam sobie blokadę pisarską na ręce założyłeś. Nie czytasz książek, bo ich nie masz, jedynie modlitewnik, nie piszesz wierszy, ani poematów nie układasz, nie rysujesz ani nie rozmyślasz, ale jednak żyjesz, widać, że wola taka jest Pańska, aby żyć życiem doczesnym wprzód duchowo-

artystyczne pogrzebawszy. Nie wiem, co lepszym by było zginąć od fal oceanu niż umierać na prerii chicagowskiej? Sam sobie musisz na to odpowiedzieć. Jak wiesz wszystko jest w rękach Pana Boga, a życie nas, co chwila niedostatkiem i niewygoda doświadczają.

Dziękuję za zaszczyt, jakim mnie obdarzyłeś kładąc pod moje pióro dzieje polskiej kobiety i za razem Polaków w Ameryce, za które to nienapisane dzieło na moim czole obiecujesz mi nieśmiertelność nakreślić. Ale nie tędy moja droga nie piórem, ale działaniem na rzecz naszej ojczyzny widzę swoje przeznaczenie. Czasy wielkiego czytania i pisania dla mnie dawno już minęły, to, co kiedyś tak mnie uszczęśliwiała, co tak kochałem zastąpiłem inną miłością.

Rozpocząłem ten list od wojny Krymskiej i na niej zakończę, być może Pan Bóg pozwoli, (choć nie chcę Go do tego mieszać), że mocarstwa zaborcze Prusy, Austria i Rosja, co przekształciły Polskę w posiadłość kolonialną, a naród nasz pod buta wzięły na tej wojnie tracą więcej niż im się wydaje. Anglia i Francja zdaje się są po naszej stronie i doskonale rozumieją poczynania zaborców, ich skoordynowane wysiłki, aby stłumić wszelkie przejawy autonomii politycznej dla swoich polskich poddanych. Zaborcy nie pozwalają nam się rozwijać, gdy cały świat Zachodu postępując dotknięty, nas w ciemnocie trzymają. Teraz nadszedł czas, aby nasi chłopcy własną ziemię we własnej ojczyźnie

uprawiali, aby nikt głodny za chlebem nie musiał emigrować.
Szczęście jest tylko w ojczyźnie, to moja myśl teraz główna,
dlatego na Wschód się wybieram, gdzie powiew wiatru wolności
każe Polakom głowę do góry podnieść.

Łączę wyrazy uprzejmej pamięci.

Paryż 1854

Adam Mickiewicz

*

Część 1:

Romantycznych poetów listy – hipotetyczna korespondencja
Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 1.

*

Adam Lizakowski – poeta, tłumacz, fotograf. Urodził się w
rodzinie żołnierza, który przeszedł cały szlak bojowy spod
Lenino do Berlina. Odznaczony srebrnym krzyżem Virtuti
Militari, który po zakończeniu II wojny światowej osiadł w

Górach Sowich we wsi Glinno położonej w województwie dolnośląskim w powiecie wałbrzyskim w gminie Walim. Jego ojciec Edward miał 10 hektarowe gospodarstwo rolne po Niemcach, którzy pomagali mu, zanim zostali wysiedleni. Adam Lizakowski debiutował w roku 1980 w ogólnopolskim *Tygodniku Kulturalnym*, dzięki poecie Tadeuszowi Nowakowi, który w swoich utworach opisywał wieś i poruszał tematykę chłopską. Od 1981 roku przebywał poza granicami kraju. Studiował na Columbia College Chicago (BA) i Uniwersytecie Northwestern w Chicago (MA). Tłumacz poezji amerykańskiej, m.in. Walta Whitmana, W.C. Williamsa, Allena Ginsberga, Langstona Hughesa, Carla Sandburga, Roberta Pińskiego i Boba Dylana. Także z angielskiego przełożył ponad 50 wierszy chińskiego filozofa i poety Lao Tse oraz wiele wierszy perskiego poety z XII w. Rumiego. Związany z poetyckim ruchem w San Francisco i Chicago. Był wydawcą kwartalnika *Dwa Końce Języka* w Chicago oraz redaktorem naczelnym miesięcznika *Razem* wydawanego w San Francisco. Przez wiele lat publikował wiersze w paryskiej *Kulturze*. W 2016 roku powrócił do Polski. Jest autorem ponad tuzina książek m.in. „Pieszyckie Łąki”, „Złodzieje czereśni”, „Jak zdobyto Dziki Zachód” czy „Pieszycka księga umarłych” wydana w 2022 roku przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa.

*

Zobacz też:

Walt Whitman. Pozdrawiam Świat - Salut Au Monde!

Poemat „Salut Au Monde!” Walta Whitmana

List Do Generała Suttera

Romantycznych

poetów listy -
hipotetyczna
korespondencja
Cypriana Kamila
Norwida z Adamem
Mickiewiczem. Część
1.



Fot. Pixabay

Opowieść o losie poety na emigracji. Hipotetyczna korespondencja romantycznych poetów, gdyby Norwid z Nowego Jorku nie wrócił do Paryża, tylko pojechał do Chicago.

*

Adam Lizakowski (*Chicago/Pieszyce*)

Będąc w Chicago przez prawie 30 lat, natrafiłem na listy poetów romantycznych w jednym z domów starych emigrantów, sprzątając ich strychy i garaże. Cztery listy były w jednej kopercie z dużym kolorowym znaczkiem odręcznie zaadresowanej i nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie nazwisko Cyprian Norwid, napisane ładnym okrągłym pismem. Koperta ta włożona była do pudełka po butach firmy

obuwniczej *Florsheim Shoe Company* z datą 1905 rok i ceną pięciu dolarów przykleją na boku. Były jeszcze i inne listy w tym pudełku z różnych lat z ładnymi znaczkami z Europy jeszcze sprzed I i II wojny światowej. Zapytałem właściciela domu czy mogę je wyrzucić na śmietnik, odpowiedział, że tak, ale muszę je włożyć do worka z papierami. Jakiś diabeł uczciwości mnie podkusił i zapytałem się go czy nie szkoda mu znaczków, tak kolorowych i odpowiedział, że szkoda i wtedy się połapałem, że okropny ze mnie frajer, bo o ładnych znaczkach niepotrzebnie wspomniałem. On, gdy o tych znaczkach nagle dla niego wartościowych usłyszał, kazał sobie zapłacić całą moją dniówkę pracy u niego, na co nie mogłem sobie pozwolić. Ale będąc w dobrym nastroju uprosiłem go, aby mi te cztery listy pozwolił przepisać, co zrobiłem i teraz do wiadomości publicznej podaję. Właściciele domu i tych listów już do trzech pokoleń nie mówią po polsku, a na moje pytanie skąd się u nich wzięły, odpowiedzieli, że pradziadowie wynajmowali mieszkania rodakom i być może ten Norwid u jego prapradziadów mieszkał, i wracając do Europy, aby mu ciężko nie było, wiele swoich szpargałów pozostawił. Jedynie z workiem przepasanym sznurkiem wzdłuż ciała z domu do Union Station poszedł na pociąg do Nowego Jorku. Nie on jeden zresztą, bo wszyscy tak robili, co szczęścia gdzie indziej szukali.

*

C. K. Norwid z Chicago pisze list do A. Mickiewicza w Paryżu

Szanowny i Wielmożny Panie -

Długo mógłbym pisać o osobistych mych cierpieniach, które były powodem, iż po czternastu miesiącach w Nowym Jorku najpierw dyliżansem, a później koleją żelazną poprzez Filadelfię, Baltimore i Buffalo po tygodniu podróży do Chicago dojechałem. Drogę miałem wygodniejszą, bo po ziemi pod stopami, niż statkiem po oceanu głębinach do Ameryki, gdzie w strachu i o głodzie, Najwyższego o życie prosiłem. Moje modlitwy o lepsze jutro zostały wysłuchane, chociaż to nie Wschód Ameryki, ale jej Środkowy Zachód do mnie się szczęściem uśmiechnął. Nie chciałem niewolnikiem pracy artystycznej w Nowym Jorku zostać, chociaż nigdzie na świecie tak dobrze za bycie artystą nie płać, jak w Ameryce. Płać, ale i artyści wolność chcą kupić, albo ograniczyć. Po zakończeniu pracy dla redakcji *Almanachu Ekspozycji Uniwersalnej* po raz kolejny w długach po kolana ugrzęzłem, choć pracy miałem aż po same łokcie, ale mi nie płacili jak obiecali, oszukiwali, to miałem wyrzuty sumienia, że za nic się sprzedaję. Aż tu pewnego dnia spotkałem pewną grupę rodaków spod Rzeszowa, co to za chlebem na Zachód jechali i z nimi się zabrałem przymuszonym głodem i chorobami, że gorzej być nie może, tylko będzie lepiej a w Panu nadzieję pokładałem. Wielu naszych rodaków tak robiło, co to ze statków z Europy

zeszli i do Chicago się kierowało. Nie umiem powiedzieć jak wiele nerwów i zdrowia decyzja ta mnie kosztowała, ale się nad wszelkich miar opłaciło.

W Chicago mogę powiedzieć praca leżała na ulicy, bo ledwie zemdlałem z pociągu wysiadłem, Żyd z długą brodą wpół zgięty do pracy w rzeźni zapraszał, podawał adres i na wstępne rozmowy kierował. Poszedłem i ja z moimi podróżnymi pełen obaw i pracę dostaliśmy od zaraz, tak, że po kilku tygodniach ponad moje siły ze wszelkich artystycznych zapędów się wyleczyłem, te moje biedne modlitwy o lepsze jutro zbliżyły mnie do pracy ludzi. Stać mnie na wiele, w małym domku z ogródkiem przy ulicy Milwaukee mieszkam. Mam swój pokój i własne łóżko, a to już nie małe osiągnięcie, bo są tutaj i tacy, co tylko na podłodze śpią, albo na dwa krzesła tylko ich stać i na nich nocują w przedpokojach. Są też tacy, co i na pokój byłoby stać, ale oszczędzają dolary i do rodziny w kraju wysyłają, sami sobie od ust odejmując. Wyzdrowiałem z wszelkich chorób i słabości i sam sobie usługuję, myję podłogę w moim pokoju i posadzkę w domu, chodzę boso dla prostoty i aby tych biednych, z którymi mieszkam uszanować.

Na mieście w polskich karczmach obiadam, jedzenie nie drogie proste, baby zwykłe je gotują, co to i chłopcy i dzieci na wsiach polskich karmiły dobrze, aby siły w polu miały. Kuchnia chłopska na krupach i pierogach oparta, lepsza od francuskiej,

bo Amerykanie na jedzeniu ani krzty się nie znają. A i wygodnie mi tak, gdy po dziesięciu godzinach z pracy do siebie wracam. Teraz w sobotę też w karczmie jestem, zaszedłem z karteczkami papieru, aby napisać tych kilkanaście zdań i drugi raz nie wychodzić z listem do pudełka pocztowego. A w karczmie i chleb dobry, i zupa na krupach ze śmietaną wyśmienita, i jeszcze świece mają na każdym stole, co na moich kupnie mogę zaoszczędzić. Nikt mnie tutaj nie zna, i nikt nic nie wie, cokolwiek bym ludziom nie powiedział i tak by mi uwierzyli, chociaż krzywym okiem na mnie patrzą, bo umiem czytać i pisać. Strój też mam inny niż polscy chłopci, bo zachodnio europejski surdut, a chłopci nasi do swych kapot mocno przywiązani i podejrzliwi, taka ich natura nieufna, nie chcą ze mną się bratać, bo mówią jak czytać i pisać umiesz, toś niebezpieczny. Aby ich jeszcze bardziej wrogo do siebie nie nastawiać, nawet nie wspominałem com malował, a com pisał, a com rzeźbił, nikt tutaj na takie sprawy czasu nie ma. Zegarek srebrny kieszonkowy szpindlak też schowałem, bo w oczy ich kuł, gdy czas sprawdzałem. Ludzie praktyczni, kiedy chcą modlitwy, to naznaczają czas i dzień, w którym sami się modlą, i ściśle tego przestrzegają.

Co do mojego amerykańskiego życia, to jak wyżej pisałem całkiem ono się zmieniło, i europejskie wyparło, o sztukach pięknych zapomniałem, czasu na to nie ma, arystokracji nie ma wokół, i wszyscy wszystkim równi, a ludzie tylko pracą i

modlitwą żyją. Obecnie Chicago z rzeźni słynie w całej Ameryce, drogami żelaznymi przywożą krowy z najdalszych prerii. Jestem wśród rodaków tłumaczem, bo po niemiecku dobrze mówię, nieopatrznie się wygadałem, gdy o ostrzeniu noży sprawy się miały. A ostry nóż i siekierą to podstawa pracy w rzeźni, to jak farby i płótno dla malarza. Pół Europy tej Wschodniej to rzeźnicy tutaj, i wszyscy wschodnio Europejczycy po polsku mówią, bo bez mowy polskiej, dla nikogo tutaj nie ma pracy, nawet dla Czechów czy Serbów, chyba, że to Niemiec, bo tylko Niemcy są tutaj ponad wszystkimi i tylko oni są majstrami. Tak się ułożyło, że żaden Słowianin nie może zostać przełożonym Niemca, choćby nie wiem jak dobrze by pracował. Ale nic to, ja sobie Amerykę pracowitą chwale i Chicago też, bo piękno na to jest, by zachwycało, – praca, by się przez nią zmartwychwstało. (C.K. Norwid, „Promethidion”, przyp. red).

Drogi Panie Adamie, jeśli mogę tak do Pan się zwrócić, zapraszam do Ameryki, czas na to, aby opisać ją, a w niej i rodaków naszych, przede wszystkim kobietę, jakim poematem ojczystym. Tom drugi *Pana Tadeusza*, czas napisać, w którym główną osobą była by kobieta z Chicago. Zosia w kuchni pracująca, albo gdzie u jakiś bogatych Amerykanów na sprzątaniu, pilnowaniu dzieci i prowadzeniu domu. W moich oczach kobieta w Ameryce nabrała innego znaczenia niż w Europie, teraz wszystkie kobiety serdecznie kocham, w każdej widzę piękno i te wewnętrzne i te zewnętrzne. Czy to oprawę

oka i tok spojrzenia — czy to ramię, czy szyi obrót, czy głos, czy udatność ruchu, czy serca powab, czy łzę, czy arabską linię łęku stopy — czy włosów jedwab... — W każdej takiej kocham się bardzo serdecznie, bez względu, azali jest matką, żoną, wdową, siostrą, imperatorową, wiejską dziewczyną, księżną rzymską, hrabiną austriacko-polską etc. Od wydania *Pana Tadeusza* dwadzieścia lat mija, nowe pokolenie się urodziło, poemat o Polsce w Ameryce *Pani Zosia* czeka na swojego mistrza, co by Pańskim talentem go napisał. Czas kobietę przedstawić ciężko pracującą na kawałek chleba u boku mężczyzny w Chicago, w Ameryce wielkiej i dającej naszym rodakom zarobić na chleb. Matka, żona, chrześcijanka, to, co w ojczyźnie najwyżej cenione, tutaj ma dwukrotną wartość. Niech w litewskich kniejach pozostaną tamtejsi szlachcice z XVIII wieku, awanturnicy, safandudy, facecioniści, czy gawędziarze. Czas iść z duchem czasu XIX wieku. Zaokrętuć się Pan jak najszybciej do nas przybywaj, pokój mam obszerny dwa łoża w nim staną, zapraszam do siebie, Ameryka widziana oczami Polaka na swój poemat czeka.

Chicago, jesień 1853 rok.



Fot. Pixabay

*

A. Mickiewicz pisze list do C.K. Norwida

Szanowny i Wielmożny Panie!

Tego po Panu bym się nigdy nie spodziewał, że tak łatwo i szybko znalazł Pan w Chicago swoje miejsce na ziemi i pracę, której tak bardzo brakowało Panu w Europie. Nie będzie Pan jak Cygan szukający swojego miejsca, ale jak Żyd co znalazł swoją ziemię obiecaną i pracę po latach wędrówki. Co to za praca, Bóg raczy wiedzieć i niech on ma Pana w opiece. Emigracja polska to wioska za wioską chłopi skuszeni marzeniami o własnej ziemi i dolarach. Jak się Pan wśród nich odnalazł nie mam pojęcia, ale

Pana podziwiam, tak samo jak ich, bo ani oni, ani Pan nigdy nie pracowaliście pod dachem w fabryce, ani żadnej innej takiej instytucji, gdzie człowiek stoi obok człowieka i pracuje. Jak oni tam się czują, nie potrafię sobie wyobrazić, jak oni pracując całe życie w polu odnaleźli się w fabrykach i domach murowanych za tym oceanem, jeden Bóg raczy wiedzieć. Oni przybyli bez grosza, może, jeśli Bóg pozwolił z kilkoma dolarami w kieszeni bez zawodu, bez języka, bez umiejętności czytania i pisania. Ta droga w nieznaną – pokładam w Bogu nadzieję, – że nie będzie ich drogą krzyżową. Pan dla mnie jest pierwszym polskim szlachcicem, który pracuje w Chicago i to w rzeźni. W Ameryce, brata się z polskim ludem. Dla mnie jest Pan pierwszym polskim socjalistą, Polakiem, w którym uczucie socjalne stało się namiętnością, czynem i rzeczywistością, a wybuchnie ono w duszy ludzi prawdziwie religijnych i patriotycznych, takich właśnie jak Pan. Uczucia religijne i patriotyczne są podstawą socjalizmu. Co z tym uczuciem Pan robi nie wiem, ale żałuję mocno, że nie napisał Pan do mnie, gdy jeszcze był w Nowym Jorku, w którym to mam sporo przyjaciół amerykańskich. Gdy pisał Pan do mnie jesienią tego roku właśnie mijały dwa lata jak umarł mój wielki przyjaciel James Fenimore Cooper, autor za pewno i Panu znanej powieści pod tytułem *Ostatni Mohikanin*, ulubiona lektura europejskich chłopców, a także i polskich, bo jest w języku polskim wydana. Pana Coopera wiele lat temu w 1830 roku poznałem w Rzymie i odnalazłem w nim bratnią duszę. To on w następnym roku 1831 w Paryżu, Komitet Amerykańsko-

Polski zorganizował śląc wielką pomoc dla powstania listopadowego. Nie muszę Panu pisać, jakim wielkim przyjacielem był on Polaków, zjednał na członków Komitetu przeszło stu wybitnych Amerykanów, przebywających wówczas we Francji, ułożył płomienną odezwę do narodu amerykańskiego, wykazując, że pomoc Polsce jest jego obowiązkiem i że prawa Polski są bezsprzeczne. Jego córka Zuzanna jest ze mną w stałym kontakcie, ale na Wschodzie Ameryki mieszka.

Wracając do Pana wiem, jak Pan bardzo ceni sobie sztukę europejską, jak bardzo cenił sobie salony francuskie i polskie w Paryżu, a tu teraz takie wiadomości mi piszesz. Pan należący do najwybitniejszych polskich artystów we Francji. Pan malarz i rzeźbiarz, poeta i myśliciel bardzo cenne swoje talenty rozmienia na drobne i przodownikiem pracy, tłumaczem rodaków w rzeźni niemieckiej zostaje. Trudno jest mi w to uwierzyć jeszcze o tych Pańskich zmianach życiowych do naszych znajomych i przyjaciół nie pisałem, nie chciałem żadnej sensacji robić wśród poetów Lenartowicza, Krasickiego, czy innych. Czekam na Pański następny list nie bardzo wierząc w to, co było napisane w pierwszym, bo jak zgaduję pisał Pan go pod wpływem emocji, albo i jeszcze innych okoliczności. Jestem przekonany, że w następnym liście wszystkiemu Pan zaprzeczy i napisze tym razem w innym tonie, że zamierza wystawić swoje świeżo wykonane prace artystyczne, bardzo wysoko cienione przez miejscowych znawców w jakimś zacnym miejscu w Chicago i tym

samym przyczyni się do powstania nowej sztuki amerykańskiej, renesansu Ameryki. Nie uwierzę, że emigracja chłopska sprowadziła Pana do jednowymiarowego poziomu wszystkich emigrantów, którzy swoją obecność w Ameryce tylko ciężką fizyczną pracą zaznaczają.

Jeśli wiąże Pan swoje życie i służbę dla rodaków w rzeźni, nie wiem, co miałbym Panu powiedzieć, co miałbym napisać. Wspomnę na nasze długie rozmowy o literaturze i filozofii, pozwoliły mi one przekonać się, że rozmawiam z człowiekiem równym europejskiej cywilizacji, umiejącym osądzić rzeczywistość życia codziennego z najbardziej wyszukaną poezją francuską czy niemiecką. I teraz ten list o tym, jakiego dokonał Pan sądu o swoim życiu na uboczu spraw wielkich, życia wydającego się spokojnego i cichego na ziemi Waszyngtona, ale wiem, że to złudzenie i to też Pan wie. Widzę w Pańskich słowach wiele nieszczęść, przez jakie przeszedł Pan w Europie i ta chęć do pisania o prawdzie i pięknie, bo tylko prawda może być piękna, bo tylko piękno może być dobrem. Że zrozumiał Pan, że te francuskie i paryskie ozdóbki, kwiatki w kryształach wstawione na stołach z marmurowymi blatami są niczym, jeśli w nim głębszej myśli nie ma. Te błyskotki świecące jak robaczki w maju, gdy nadejdzie ich czas gasną i nawet wspomnienie o nich nie trwa dłużej niż chwila.

Jak mawiają Amerykanie; *and now last but no least*, chciałbym

wrócić do Pańskiej propozycji napisania dalszej części *Pana Tadeusza* o kobietach w Chicago, albo w Ameryce pod tytułem *Pani Zosia*, i tu po raz kolejny Pan mnie zaskoczył. Pomysł wydaje mi się arcyciekawym i przednim, ale ja jak Pan wspomnieć raczył, od wielu lat poezji nie pisałem i pisać już nie chcę. Przecenia mi Pan, to, co zrobiłem będąc młodym, zrobić w moim teraz wieku nie jestem w stanie. Tak samo jak do Ameryki nie zamierzam się wybierać, bo tu w Europie jest Polska i jej będę służył z całych moich sił dopóki mi ich starczy. Tutaj jest moja ojczyzna i rodzina, dzieci moje i moje sprawy do załatwienia. Poza tym nie zamierzam w Chicago w rzeźni pracować i po dziesięciu godzinach pracy ponad ludzkie siły w nocy świecę palić i poemat pisać, bo jak sam Pan wiesz, nikt tam złamanego grosza na poezję nie wyda, a polskiej arystokracji się tam nie znajdzie. Nie skarżę się na rodaków w Ameryce, co to za chlebem do niej popłynęli, a nie po poezję, i tutaj w Europie też za chlebem jesteśmy, ale do pisania wierszy w Chicago o polskich kobietach żadna siła mnie nie zmusi. Projekt Pański o Zosi uśmiech na mej twarzy wywołuje i nie mogę powstrzymać się od śmiechu, proszę wybaczyć mój styl i swawolność, ale znam powagę, piszemy o rzeczach ojczyistych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonomy, dla stangreta (czy jak u was mówią dla fornala) nawet. Pan myślisz, że moje śliczne pisanie będzie się rymowało i z myślenia zwalniało, a także z estetycznych i etycznych doznań. Dlatego się uśmiecham na Pańską propozycję, bo uważa Pan, że poemat *Pani*

Zosia szybko trafi pod strzechy, ale ich w Ameryce w dużym urbanistycznym mieście już niewiele a Polska daleko. Prawda jest taka, że moje pióro, czym innym teraz jest zajęte, moje serce i głowa gdzie indziej, poza tym każdy, kto chce pisać musi czytać, mówić i rozmyślać o tym, co chce napisać. Ameryka jest daleko, tylko od strony pieniądza podziwiana, jak żyją w niej Polacy być może za sto lat po nas ktoś o nich napisze, ale czy w Polsce będą chcieć o tym czytać tego nie wiem. Trzeba nam wielkiego zapasu cierpliwości. Dziękuję za pamięć. W domu u mnie wszyscy zdrowi, bądź zdrów też. Za chwilę kończy się ten rok 1853, niech dobry Pan Bóg sprawi, aby nowy był jeszcze lepszy. Życzę wiele szczęścia i łask Bożych.

Z poważaniem.

Adam Mickiewicz

*

Część 2:

Romantycznych poetów listy - hipotetyczna korespondencja Cypriana Kamila Norwida z Adamem Mickiewiczem. Część 2.



Zobacz też:

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Ameryka w oczach i pamiątkach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

Adam Lizakowski - sześć wierszy o Chicago

Paryż, Luksemburg i nagroda Marca Chagalla



Pałac Schaffgotschów we Wrocławiu, lata 1900-1910, po II wojnie światowej legendarny klub studencki „Pałacyk”, fot, Pinterest

Kazimierz Głaz (*Toronto*)

Gdy po raz pierwszy został POKAZANY brazylijski film „Karnawał w Rio de Janeiro” w komunistycznej Polsce, od razu odniósł wielki sukces. Fantastyczne tańce, muzyka i nieznany świat poruszyły młodą i starą publiczność. We Wrocławiu, gdzie wówczas studiowałem sztuki piękne, mieliśmy swoje miejsce, klub studencki „Pałacyk”, który przypominał mały zameczek. Słynał z dobrze zaopatrzonego baru i restauracji. Serwowano tam nawet francuskie wina.

Gdy rozeszła się wiadomość, że brazylijski muzyk i profesor (polskiego pochodzenia), wygłosi wykład o kulturze i muzyce Brazylii, byłem tam z setkami innych zainteresowanych.

Profesor Bruno Wyzuj z Luksemburga wygłosił wykład po angielsku, a potem grał brazylijską muzykę znaną nam z filmu. Ktoś z miejscowej opery tłumaczył go na język polski. Język angielski nie był wówczas popularny, a znajomość angielskiego mogła być podejrzana i niepoprawna politycznie.

Byłem prawdopodobnie drugą osobą na sali, która rozumiała ten język, więc po wykładzie podszedłem do wykładowcy, żeby z nim porozmawiać. Był bardzo zadowolony z rozmowy prywatnej. Interesował się sztuką, więc zaprosiłem go do swojej pracowni. Wybrał kilka obrazów z mojej bizantyjskiej serii i przewidział

nieoczekiwane wydarzenia, które miały potem nastąpić.

Powiedział: jeśli spodobają się Reginie, mojej żonie, odniesiesz sukces.

Niedługo napisał, że Reginie bardzo się spodobały moje obrazy, więc miałem nadzieję, że ten sukces osiągnę..

Wkrótce okazało się, że moje prace zostaną pokazane na IV Międzynarodowym Biennale w Paryżu w 1965 r.

Paryż 1965 r.

Oczywiście moja podróż do Paryża i Luksemburga nie była tak łatwa, jak się to może dziś wydawać. Nie można bowiem zapomnieć o uwarunkowaniach historycznych tamtych lat. Miałem reprezentować Polskę na międzynarodowej wystawie sztuki i zostałem zaproszony na jej otwarcie do Paryża. Ze względu na polityczny podział Europy po wojnie, sześć miesięcy zajęło mi uzyskanie paszportu, wizy i pieniędzy zwanych wtedy dewizami. Wreszcie, kiedy udało mi się załatwić wszystko, co było potrzebne, czas minął i wystawa była już zamknięta. Ministerstwo Kultury zezwoliło mi na zakup 300 franków francuskich na podróż. Taka kwota mogła mi wystarczyć jedynie na trzydniowy pobyt w tym pięknym mieście. Legalnie można było mieć wtedy tylko 10 dolarów USA w kieszeni.

Tak więc jestem w Paryżu w połowie grudnia 1965 roku. Byłem oczarowany świątecznymi dekoracjami tej światowej stolicy kultury.

Na szczęście mówiłem po francusku wystarczająco dobrze, aby porozumiewać się. Znałem tylko jednego francuskiego artystę, którego spotkałem kiedyś we Wrocławiu. Powiedział mi wtedy, żebym do niego zadzwonił, jeśli kiedykolwiek przybędę do Paryża. Zadzwoniłem więc. To rozwiązało moje problemy z noclegiem.

Poszedłem do biura Międzynarodowego Biennale, aby otrzymać bezpłatny katalog. Sekretarka sprawdzająca moje nazwisko nie tylko dała mi katalog, ale niewinnie zapytała, czy wiem, że otrzymałem nagrodę. Nie miałem oczywiście o tym pojęcia.

- Ile? Spytałem nerwowo.

- Nie wiem, ale to musi być dobra nagroda, ponieważ przekazał ją Panu Marc Chagall ze swojej nagrody, którą otrzymał w Amsterdamie (*Erasmus Prize, red.*).

- Niesamowite, wyszeptałem i wyszedłem bardziej dezorientowany niż byłem wcześniej. Szykowałem się na powrót do domu, kończąc moją paryską przygodę. Teraz jednak musiałem zdecydować. Zostać tutaj czy wrócić do domu, aby tam

czekać na dalsze informacje. Jednak znając konsekwencje polityczne, jakie mogą mnie spotkać po powrocie, zdecydowałem się zostać i udać się na krótką wycieczkę do Luksemburga, aby odwiedzić Bruno Wezuja.

Luksemburg 1966 r.

Późną nocą przyjechałem do tego słynnego miasta. Znalazłem dom przy głównej ulicy. Przywitali mnie Bruno i Regina. Następnego dnia ktoś zapukał do moich drzwi.

- Puk, puk. Było wcześnie rano. Do mojego pokoju przyszedł uśmiechnięty, mały dzieciak.

- Bonjour Cazimir, powiedział zaraz po wejściu. Mam na imię Max. W jakim języku chcesz ze mną rozmawiać? Mówię po niemiecku, francusku, angielsku i luksembursku.

- Ho, ho, pokiwałem głową, to nieźle, jak na pięcioletniego mężczyznę. Znam prawie tyle samo języków co ty, z wyjątkiem miejscowego, bo dopiero wczoraj przyjechałem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i używając wygodnego języka francuskiego kontynuowaliśmy ciekawą wymianę opinii i wiadomości lokalnych. Tak było przez kilka tygodni.

Bruno i Regina byli śpiewakami operowymi, dobrze znanymi zarówno tu, jak i w całej Europie. Wkrótce musiałem spotkać się z lokalnym dziennikarzem, a moja historia została wydrukowana w codziennej gazecie. Jako bizantyjski artysta zostałem też przedstawiony miejscowemu księdzu, któremu pokazałem swoje gwasze.

- Czy potwierdzisz, że trzy postacie na twoich obrazach przedstawiają Świętą Trójcę - zapytał uśmiechając się.

- Oczywiście, Eminencjo - potwierdziłem entuzjastycznie.

- W takim razie kupię trzy z nich.

W ten sposób wróciłem do Paryża z dużą ilością pieniędzy i mogłem pozostać bez problemów finansowych do dnia, kiedy przyszedł list z Amsterdamu z pytaniem, gdzie należy wysłać nagrodę i w jakiej walucie.

- Do Paryża - odpowiadałem spokojnie i we frankach francuskich. I tak zostałem tam szczęśliwie przez trzy lata.

Obecnie tamten 5-cio letni chłopiec, to znany poeta, Max de Carvalho. Rodzice zmieniła nazwisko z pierwotnego polskiego

nazwiska - Wyzuj, na nazwisko brazylijskiej matki Maxa - de Carvalho. Rodzina Bruno już dawno wyemigrowała z Poznania do Brazylii. Max urodził się więc w Rio de Janeiro. Teraz mieszka we Francji. Nasza przyjaźń trwa do dziś. Niedawno Max poprosił mnie, abym opowiedział mu swoje wspomnienia z mojej pierwszej podróży do Paryża i Luksemburga.

A przy okazji - drugi syn Maxa urodził się w Paryżu i.... otrzymał imię Casimir, aby zaznaczyć naszą polsko-brazylijską przyjaźń.

Styczeń 2021 r.

Tłumaczenie z języka angielskiego: Joanna Sokołowska-Gwizdka

Zobacz też:

Anioł Stróż. Opowiadanie sensybilistyczne.

Polski plakat niepodległościowy. Wystawa w Galerii Roi Doré w Paryżu.

Od 23 października do 24 listopada 2018 r można zobaczyć w Paryżu wystawę plakatów związanych z walką Polaków o niepodległość na przestrzeni lat.



Projekt plakatu: Michał Batory.

Wystawa prezentuje wybór polskich plakatów niepodległościowych z różnych epok, związanych z szeroko pojętą walką o wolność i niepodległość. Znajdują się wśród nich m.in. plakaty nawołujące do walki zbrojnej (z okresu I i II wojny światowej czy wojny polsko-bolszewickiej) lub poparcia czynu zbrojnego czy wsparcia humanitarnego ofiar konfliktów, ale także dzieła propagandowe, wspierające i

promujące różne wizje - społeczne, ekonomiczne i polityczne - wolnej Polski.

Chronologiczne ujęcie tematu pozwala przede wszystkim ukazać przekrojowo historię Polski i jej najbardziej przełomowe momenty, kiedy decydował się kształt państwa. Wśród prezentowanych prac znajdują się plakaty z okresu I i II wojny światowej, z międzywojnia, z czasów powojennych (m.in. plakaty solidarnościowe czy też związane z wprowadzeniem stanu wojennego). Tym samym, poza ważnymi wydarzeniami historycznymi, wystawa przybliży zwiedzającym również przemiany społeczne, ekonomiczne i polityczne polskiego społeczeństwa na przestrzeni ostatnich 100 lat.



Robert Budecki, 1981 r.

Szeroki wybór zaprezentowanych dzieł, dobranych zarówno ze względu na ich wartość historyczną, jak i walory estetyczne, daje także możliwość przyjrzenia się ewolucji sztuki plakatu - domeny, w której polscy artyści cieszą się od lat niesłabnącą i zasłużoną renomą (słynna „polska szkoła plakatu”) - oraz roli i zaangażowania artystów w walkę o niepodległość i w kształtowanie się państwa.

Wystawa wpisuje się w obchody 100-nej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości i upamiętnia zarówno samo przełomowe wydarzenie, jak i ostatnie 100 lat historii

Polski. Wystawa jest częścią projektu „W służbie sztuce i ojczyźnie”, organizowanego przez Galerię Roi Doré oraz platformę Art-maniac, którego celem jest promocja wiedzy o historii Polski - od wydarzeń związanych z odzyskaniem przez Polskę niepodległości poprzez jej losy od tego przełomowego momentu aż do dnia dzisiejszego - a także o związkach między sztuką i historią. Projekt „W służbie sztuce i ojczyźnie” szczególną uwagę poświęca roli artystów w walce o wolną i niepodległą Polskę.



Anonim, 1981-82 r.

GALERIE ROI DORÉ - 6, rue Sainte Anastase 75003 Paris

Tél : + 33 1 42 78 54 42

galerie@roidore.com; www.roidore.com; www.art-maniac.fr

Plakaty można kupić:

<https://www.art-maniac.pl/category/works-on-paper/plakat/>

Galeria



Anonim, 1914-1915 r.



Anonim, 1920 r.



Anonim, lata 1930-te.



Władysław Skoczylas, 1920 r.



Władysław Teodor Benda, 1917 r.



George Illian, 1917 r.



Anonim, 1920 r.



Franciszek Nieczuja Urbański, 1920 r.



Theo Matejko, 1939 r.



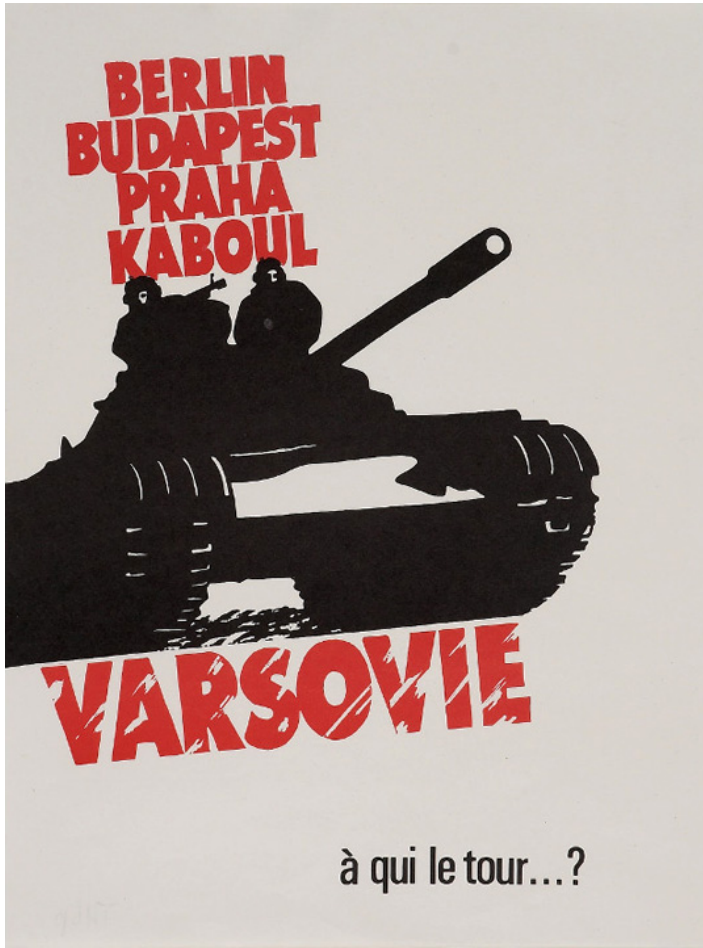
Anonim, 1921 r.



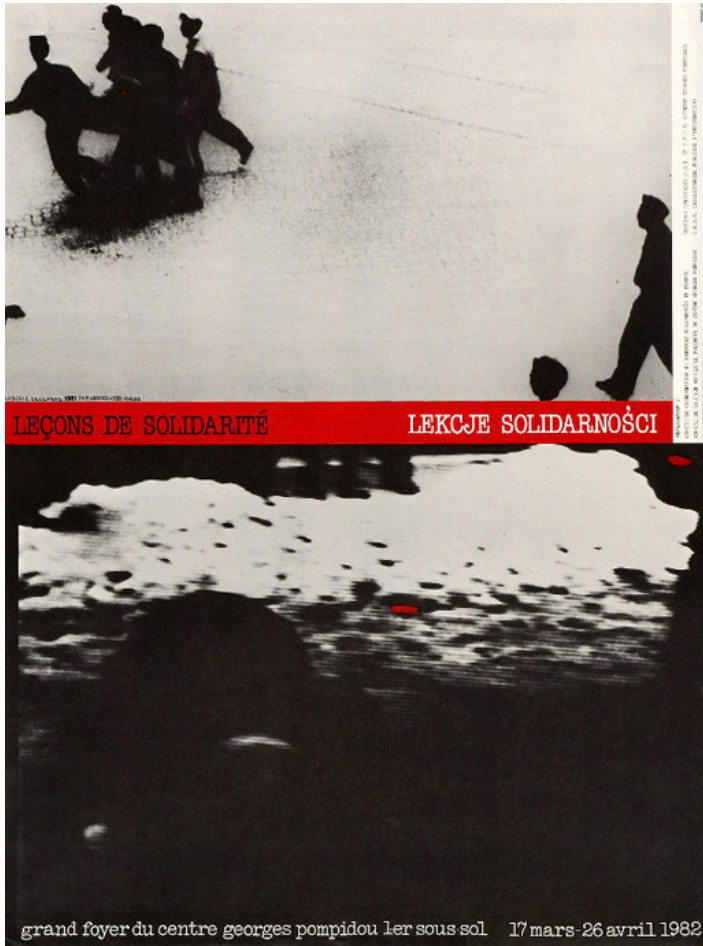
Anonim, 1981 r.



Anonim, 1943 r.



Anonim, 1981 r.



Roman Cieśliewicz, 1982 r.